

Słabe uczelnie mogą upaść



Rozmowa
z prof. **Andrzejem
Jajszczykiem**,
dyrektorem
Narodowego
Centrum Nauki

Prof. **Andrzej Jajszczyk** (ur. w 1952 r. w Dęblinie) jest wychowankiem i długoletnim pracownikiem Politechniki Poznańskiej, specjalistą w dziedzinie telekomunikacji, teleprzetwarzania i sieci komputerowych. Pracował na uczelniach w Australii, Kanadzie i Francji, był też konsultantem m.in. w Indiach, Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Jako redaktor naczelny specjalistycznego „IEEE Communications Magazine” wprowadził ten miesięcznik na pierwsze miejsce światowego rankingu czasopism telekomunikacyjnych. Od 1999 r. jest profesorem Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. W 2008 r. otrzymał nagrodę Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej zwaną „polskim Noblem”. Jest wiceprezesem Zarządu Fundacji Kyoto-Kraków, dyrektorem Narodowego Centrum Nauki z siedzibą w Krakowie został w marcu br.

- Wiosną tego roku mówił pan w Polskiej Akademii Umiejętności o miejscu nauki polskiej na tle zmieniającego się świata. Jedną z naszych słabości, które pan wówczas wymienił, tkwi w finansowaniu. I nie chodzi wyłącznie o niedostatek funduszy, ale także o strukturę wydatków. Wśród krajów należących do Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) mamy najniższy wskaźnik finansowania badań przez gospodarkę. Inaczej mówiąc, Polska w porównaniu z innymi krajami OECD na naukę najwięcej daje z budżetu państwa. W dodatku od 1998 r. sytuacja się pogorszyła. Co jest tego przyczyną?

gielsku. W szczególności musimy to robić, jeśli mamy ambicję pokazywać światu polską wizję historii. Inaczej nikt nas nie będzie czytał. A najbardziej znanym w świecie badaczem polskiej historii pozostanie pół Walijczyk, pół Anglik Norman Davies.

- Miał pan okazję pracować na uniwersytetach w różnych krajach. Jak nasi badacze wypadają w porównaniu z kolegami z zagranicy?

- Bardzo trudno byłoby nam konkurować z Chińczykami. Oni przychodzą na uczelnię wcześniej rano, a wychodzą późnym wieczorem i przez cały czas intensywnie pracują. A jak jest u nas? Nasi badacze przeważnie nie poświęcają swej pra-

- To nie dotyczy tylko Polski. Sprawa ma znacznie szerszy wymiar. Konferencja jest dziś w nadmiarze. Kiedyś było ich znacznie mniej, łatwiej było odróżnić dobre od słabych. Teraz są instytucje, które organizują konferencje „maszynowo”, często w atrakcyjnych miejscach świata. A ponieważ naukowcy mają większe pieniądze na udział w takich spotkaniach, przyciąga się ludzi nawet kosztem zaniżenia kryteriów. W efekcie mamy dużo konferencji bardzo słabych, nastawionych na czerpanie zysków przez organizatorów. Nie patrzy się na jakość zgłaszanych referatów, chodzi tylko o to, aby jak najwięcej osób wniosło opłatę konferencyjną. Jeżeli

Jeśli nasze artykuły są słabo cytowane, znaczy to, że nie mamy do powiedzenia nic ciekawego.

- Do tej pory nasza gospodarka miała prostsze rezerwy. Wystarczyło korzystać ze sprawdzonych już w świecie rozwiązań technologicznych, żeby zwiększać zyski. Nie było konieczne prowadzenie własnych badań. Rozwój ekstensywny dawał wystarczające przychody. W niektórych branżach brakowało też konkurencji. Ale to się już zmienia. Rynek polski staje się coraz bardziej konkurencyjny. Jest coraz więcej firm, a coraz mniej prostych rezerw. Firmy rozglądają się za nowymi sposobami generowania przychodów; jednym z nich jest inwestowanie w badania naukowe. Do tego dochodzą działania instytucjonalne, które mają zachęcić przedsiębiorstwa do inwestowania w naukę. Znacznie większy niepokój budzą inne zjawiska.

- Czy ma pan na myśli na przykład niski poziom cytowania polskich prac naukowych w periodykach o zasięgu międzynarodowym?

cy tyle czasu. Zdarza się, że opuszczają wcześniej miejsce pracy, że urywają się z zajęć. Tłumaczą się tym, że mają rodziny, dzieci, że muszą zarobić na mieszkanie i dlatego podejmują pracę jeszcze w innym miejscu. Nie chcę generalizować. Mamy wielu wspaniałych uczonych, którzy bardzo ciężko pracują. Ale ogromna masa naszych naukowców często udaje, że coś robi. Sprzyja temu system, w którym profesora czy doktora habilitowanego nie jest łatwo zwolnić z pracy tylko za to, że nic nie robi. Ale dotyczy to również młodych ludzi. Jak obserwuję doktorantów w USA, w krajach anglosaskich, ale również w krajach, które nie mają dobrej reputacji jeżeli chodzi o ciężką pracę, np. we Francji, to oni tam bardzo mocno pracują. Odmawiają sobie rozrywek, odmawiają urlopów. Traktują to jako inwestycję w swoje życie. Nam nie brakuje zdolnych ludzi. Myślę, że talenty rozkładają się

skalkuluje się ją na odpowiednim poziomie, można na tym niezłe zarabiać. Obserwuję to szczególnie w naukach technicznych. Nie neguję roli integracyjnej spotkań naukowych, nawet jeśli nie reprezentują najwyższego poziomu. Nie jest też czymś nagannym sam fakt, że konferencja przynosi zysk. Są instytucje, które z zarobionych tą drogą pieniędzy finansują inne swoje działania statutowe, np. wspierają młodych naukowców czy dofinansowują niedochodowe czasopisma naukowe na wysokim poziomie. Ale z czysto naukowego punktu widzenia ważne jest, czy konferencja jest dobra czy zła. A tak się składa, że spotkania naukowe obliczone wyłącznie na zysk są słabe.

- W jakim stopniu ten problem dotyczy polskiej nauki?

- Raczej nie organizuje się u nas konferencji tylko po to, aby zarobić. Widzę raczej inny problem. Często zdarzają się

Ogromna masa naszych naukowców często udaje, że coś robi.

- Między innymi. To jest pewien mierznik jakości uprawianej nauki. Jeśli nasze artykuły są słabo cytowane, znaczy to, że nie mamy do powiedzenia nic ciekawego. Oczywiście, w dużej mierze wynika to z faktu, iż znaczna część artykułów ukazuje się u nas po polsku. Dużo po angielsku publikuje się w naukach ścisłych czy technicznych, znacznie gorzej przedstawia się to w humanistyce. Zdaję sobie sprawę, że o niektórych rzeczach trudno jest pisać w obcym języku, np. o samym języku polskim czy o niektórych zagadnieniach filozofii związanych z językiem. Nic nie można robić na siłę. Ale argumenty humanistów, że my Polacy powinniśmy pisać po polsku, nie wytrzymują krytyki. Chcąc pokazać innym osiągnięcia naszej humanistyki, musimy pisać w językach powszechnie zrozumiałych, czyli najczęściej po an-

w świecie w miarę równo. Na pewno nasi doktoranci nie są głupszy od doktorantów z Ameryki czy z Azji. Ale mało jest tych, którzy potrafią połączyć zdolności z ciężką pracą.

- Mamy leniwą naukę?

- Mamy bardzo zróżnicowaną naukę. Są ludzie silnie zmotywowani, którzy ciężko pracują, i jest niestety dużo tych, którzy podejmują działania pozorowane, publikują wyłącznie w kiepskich pismach, biorą udział w konferencjach na niskim poziomie, które są maszynką do robienia pieniędzy. Wszędzie na świecie można spotkać takie osoby, ale mam wrażenie, że u nas jest ich więcej niż wynosi średnia dla świata rozwiniętego.

- O co chodzi z tymi konferencjami, które jak pan mówi, są maszynką do robienia pieniędzy?

konferencje o zasięgu lokalnym lub jedynie z nazwy międzynarodowe, które organizuje się tylko dla dodania sobie prestiżu. Generalnie jestem przeciwnikiem konferencji krajowych. Uważam, że skoro nauka jest dziś globalna, konferencje też powinny być globalne, międzynarodowe.

- Przywiązuje pan dużą wagę do mobilności naukowców i potwierdza to własnym przykładem. 11 lat temu sprzedał pan dom w Poznaniu i kupił w Krakowie, aby móc pracować pod Wawelem. Ale sytuacja młodych pracowników nauki jest inna. Niejednego doktoranta czy doktora na dorobku po prostu nie stać na taką życiową rewolucję.

- Jesteśmy stosunkowo biedni, to prawda. Na pewno trudniej u nas zmienić mieszkanie niż w USA, które z definicji są krajem bardzo mobilnym. Ale jeszcze bar-

► dziej nie stać nas na brak mobilności. Bo mobilność jest warunkiem postępu. Mobilność jest niezbędna niezależnie od związanych z nią kosztów. Nieprzypadkowo Niemcy wprowadzili zasadę, że przez sześć lat nie wolno uczelni zatrudnić wypromowanego u siebie doktora.

– **Czy w innych krajach są podobne regulacje prawne?**

– Gdzie indziej problem regulują konkursy. Gdy się ogłasza konkurs na stanowisko profesorskie w dobrej uczelni amerykańskiej czy zachodnioeuropejskiej, na jedno miejsce zgłasza się kilkudziesięciu, czasem nawet kilkuset chętnych. Wybiera się najlepszego. Szansa, że „swój” akurat

kiego recenzenta, który napisze życzliwą recenzję. Istnieją nawet swoiste „spółdzielnie”, w ramach których następuje wymiana „usług” recenzentek. Z takimi patologiami trzeba oczywiście walczyć, ale nie jest to proste.

– **Jaka jest skala tego zjawiska?**

– Trudno podać konkretne liczby, bo wymagałoby to szczegółowych badań. Poza tym oceny w takich przypadkach są zawsze bardzo subiektywne. Polska nie jest wielkim krajem i jeżeli zamykamy się w naszym środowisku, gdzie wszyscy wszystkich znają, nie jesteśmy w stanie uniknąć takich sytuacji. Dużo lepiej pod tym względem jest w Stanach Zjednoczo-

nieniem tym od lat sam mam do czynienia jako człowiek zaangażowany w wydawanie amerykańskich czasopism naukowych. Problem ma bowiem wymiar globalny. Ale u nas występuje w większym stopniu, bo nie walczy się z nim tak, jak w innych krajach. Jestem teraz dyrektorem ds. czasopism w IEEE Communications Society. Wydajemy najlepsze na świecie czasopisma telekomunikacyjne. Od lat prowadzimy walkę z plagiatami. Stosujemy sankcje wobec autorów dopuszczających się kradzieży cudzej własności intelektualnej, kierując się pięciostopniową skalą. Bo czym innym jest przepisanie jednego zdania bez zacytowania, a czym in-

Włosy stają dęba, gdy się słyszy, jak daleko posuwa się bezczelność plagiatorów.

się załapie na to miejsce, jest niewielka. Tymczasem u nas konkursy są nadal fikcją. Układa się je pod konkretną osobę. Stoi za tym argument: skoro wychowałem sobie doktora, to dlaczego mam go komuś oddać. Nie możemy w ten sposób myśleć. Czasy niewolnictwa dawno się skończyły. Dziś mobilność jest rzeczą absolutnie zasadniczą. Poza samym fermentem umysłowym sprawia ona, że nie tworzą się tak łatwo układy personalne. W krajach, w których występuje wysoka mobilność, nauka jest lepsza.

– **Ze środowiska ludzi nauki dochodzą narzekania na zanik krytyki naukowej. Zamiast rzetelnej oceny pracy naukowej pisze się grzecznościowe opinie, recenzje mające sprawić przyjemność recenzowanemu.**

nych, gdzie rynek naukowy jest wielki, nie mówiąc już o całej strefie języka angielskiego. Tam takie sytuacje z natury rzeczy zdarzają się rzadziej. Musimy więc otwierać się na recenzentów zagranicznych. W Narodowym Centrum Nauki do oceny projektów powołujemy recenzentów również z zagranicy. Dlatego wszystkie wnioski kierowane do nas muszą być pisane po polsku i po angielsku.

– **Czy to jedyny sposób walki z „kolesiostwem” w nauce?**

– W niektórych krajach, w szczególności w krajach anglosaskich, naukowcom, którzy postępują nieetycznie, nie podaje się ręki. Wyzuca się ich poza nawias społeczności naukowej. Dobre towarzystwo z nimi nie rozmawia. U nas ten mechanizm nie działa. Dużo się mówi ostat-

nym podpisanie swoim nazwiskiem cudzego artykułu.

– **Dlaczego ludzie nawet o znanych nazwiskach, bardzo utytułowani, posuwają się do plagiatu? Czy liczą, że nikt ich nie przyłapie? Czy może są przekonani, że nawet jeśli sprawa się wyda, to obędzie się bez poważnych konsekwencji?**

– Trudno mi to zrozumieć. Ale myślę, że motyw bywają różne. Niektórzy ludzie są tak bezczelni, że uważają, iż mogą sobie na wszystko pozwolić. Część traci krytycyzm wobec tego co robi i sądzi, że cokolwiek czyni, czyni dobrze. Jeszcze inni wchodzi w to „międko”. Uważają, że jeśli kiedyś się z kimś pracowało, to wolno przepisać fragment jego pracy. A część ludzi dopuszcza się plagiatu z rozpacz, bo konieczne chce zrobić np. habilitację,

Jeśli nie mamy ani dobrych specjalistów, ani dobrych pomysłów – nie róbmy niektórych badań. Nie musimy przecież w Polsce badać wszystkiego.

– To jest poważny problem. Głośna była sprawa znanego profesora z Poznania, do którego rada naukowa jednej z uczelni zwróciła się o zrecenzowanie pracy habilitacyjnej. W niewielkim odstępie czasu wpłynęły dwie recenzje podpisane przez tę samą osobę – recenzje zupełnie różne. Wiadomo, że gdy się ocenia pracę naukową, recenzje pisane w odstępie dwóch, trzech miesięcy nie będą całkiem identyczne, ale nie mogą też być skrajnie odmienne. A tak zdarzyło się w tym przypadku. Profesor tłumaczył się, że miał dwie wersje tekstu i przez pomyłkę wysłał obie. Ale pozostało silne podejrzenie, że przynajmniej jedna z wersji została napisana „na zamówienie”. Jest tajemnicą poliszynela, że w poszczególnych dyscyplinach są recenzenci prac doktorskich, którzy zawsze oceniają prace pozytywnie. Jeśli promotor ma słabego doktoranta, który napisał słabą pracę, to sugeruje ta-

nio o przypadkach plagiatów prac naukowych, ale środowisko często nawet broni tych, którzy ewidentnie popełnili plagiat.

– **Jak to możliwe?**

– Czasem wynika to z „dobrego serca”. Ludzie mówią: „Nie róbmy mu krzywdy. Popęłnił błąd, cóż, każdemu może się zdarzyć”. Z kolei inni z czystego oportunistu nie chcą się narazić komuś ważnemu. Obawiają się kłopotów.

– **Czy polscy badacze często dopuszczają się plagiatu?**

– Brałem udział niedawno w spotkaniu zorganizowanym przez Fundację im. Stefana Batorego na temat etyki w nauce. Był tam Marek Wroński, który na łamach „Forum Akademickiego” od lat walczy z plagiatami w nauce. Przedstawił on referat ilustrowany licznymi przykładami. Włosy stają dęba, gdy się słyszy, jak duża jest skala tego zjawiska i jak daleko posuwa się bezczelność plagiatorów. Z zagad-

a nie ma na nią pomysłu. Motywy są różne, skutek zawsze podobny.

– **Ale teraz, w dobie elektroniki, coraz łatwiej wychwycić kradzież cudzego tekstu...**

– Owszem, są programy antyplagiato- we. Jednak ludzie mają poczucie, że można je przechytrzyć. Jeśli wyszuka się w internecie doktorat z Nowej Zelandii i jego fragmenty przepisze po polsku, to tego nikt nie zauważy.

– **Jak świat sobie z tym radzi?**

– W wielu krajach podchodzi się do problemu bardzo poważnie. Uczestniczyłem kiedyś w sprawie, w której bardzo znanemu profesorowi południowokoreańskiemu zarzucono, że w swoim artykule kilka akapitów przepisał z innej pracy, nie cytując autora. Sytuacja była dwuznaczna, ponieważ artykuł, w którym plagiat popełniono, był podpisany przez dwie osoby – profesora i doktoranta. Często zdarza

się, że doktorant pisze, profesor potem na to tylko zerknie, przejrzy i mówi: „OK, wysyłamy”. I ów profesor tak właśnie się tłumaczył. Mimo to został wyrzucony z uczelni. Można się zastanawiać, czy kara była adekwatna. Ale niektóre uczelnie stosują twardo zasadę: zero tolerancji dla plagiatów. Jeżeli profesor podpisał artykuł swoim nazwiskiem, to odpowiada za jego treść.

- Czy u nas wyciąga się konsekwencje wobec plagiatorów?

- Praktyka wskazuje, że konsekwencje są za małe. Nie słyszałem, żeby kogoś z powodu plagiatu wyrzucono z uczelni. Myślę, że dopiero pojawia świadomość, iż to jest bardzo poważne przestępstwo i trzeba za nie surowo karać.

- Mówiąc o kondycji nauki polskiej trudno uciec od kwestii jej finansowania. Co możemy zrobić, biorąc pod uwagę, że Polska przeznaczca na naukę kilkakrotnie mniej środków niż inne kraje rozwinięte, nawet nasi sąsiedzi, a na zdecydowaną poprawę warunków materialnych na razie nie ma co liczyć?

- W tej chwili bardzo dużo środków dla szkół wyższych idzie na zadania statutowe. Założenie jest takie, że uczelnie rozdziela pieniądze według własnego uznania, finansując te kierunki badawcze, które z jej punktu widzenia są najważniejsze. W praktyce jednak wygląda to tak, że jeśli pojawiają się dodatkowe fundusze, idą one w większości na dopłaty do pensji, wszystkim po równo. Druga część funduszy płynie do Narodowego Centrum Nauki, gdzie dzielimy pieniądze na zasadzie konkursowej. Masz najlepszy pomysł, dostaniesz na to środki. Z czasem coraz więcej pieniędzy powinno być dzielonych w drodze konkursu. Za jakiś czas dojdziemy do tego, że jeżeli uczelnie nie zatrudni dobrych naukowców, którzy będą zdobywać pieniądze od NCN oraz od Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, funduszy otrzymywanych na zadania statutowe nie wystarczy na jej utrzymanie.

- Czy może dojść do likwidacji słabych uczelni?

- W skrajnych przypadkach tak. Ale wiele będzie zależało od samych szkół. Przede wszystkim ważne jest, aby środków z dotacji statutowej nie dzielić między wszystkich po równo, tylko np. w większym stopniu kierować je na rozwój wybranej dyscypliny, którą uważa się za potrzebną z punktu widzenia uczelni lub ważną dla nauki. Niech osoby zajmujące się tą dyscypliną zatrudnią kogoś młodego i utalentowanego, kto po kilku latach zacznie zdobywać pieniądze na badania od Narodowego Centrum Nauki lub Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Również państwo powinno kierować dodatkowe środki na badania, które uważa za szczególnie potrzebne, nawet jeśli nie reprezentują najwyższego poziomu. Są rzeczy, których nikt w świecie za nas nie zro-

bi, np. z zakresu polskiej historii czy geografii. Natomiast z niektórych tematów może warto zrezygnować, jeśli nie mamy ani dobrych specjalistów ani dobrych pomysłów na realizowanie tych badań. Nie musimy przecież w Polsce badać wszystkiego. Najgorszym wyjściem jest dawanie wszystkim tyle samo pieniędzy, bo to prowadzi na manowce.

- Jaka jest różnica między działalnością kierowanego przez pana Narodowego Centrum Nauki a funkcjonowaniem Narodowego Centrum Badań i Rozwoju?

- Badania, które finansuje NCBiR, dotyczą konkretnych zagadnień zleczanych przez państwo, jak przetwórstwo węgla czy zmniejszanie emisji dwutlenku węgla. Natomiast NCN finansuje badania podstawowe i nie narzuca z góry konkretnych tematów. Liczy się przede wszystkim ciekawy pomysł i dobry poziom naukowy. Obie agencje wzajemnie się uzupełniają.

- Wskazuje się jednak, że pieniądze, jakimi dysponuje NCN, są niewielkie w porównaniu z kosztami funkcjonowania całej polskiej nauki.

- Nasz budżet szybko rośnie. Zaczynaliśmy w tym roku od 305 milionów zł, ale ostatnio udało się przekonać komisję finansów publicznych, żeby podnieść nam tę kwotę o 202 miliony. Mamy więc już ponad pół miliarda na ten rok. A w przyszłym roku nasz budżet całościowy wzrośnie do ok. 900 mln zł. Dochodzimy do pełnego miliarda. Mamy coraz więcej pieniędzy do podziału.

- Co panu najbardziej przeszkadza w pracy?

- Zbyt małe zasoby NCN w stosunku do ogromu stojących przed nami zadań. Jesteśmy w trakcie oceniania pierwszych prawie ośmiu tysięcy projektów. Szacujemy, że w tym roku ogółem wpłynie do nas ok. 17 tys. wniosków na badania. A nasze centrum zatrudnia niespełna 70 osób. Prowadząca podobną działalność amerykańska National Science Foundation rocznie otrzymuje ok. 40 tys. wniosków, czyli nieco ponad 2 razy więcej niż my, a zatrudnia 2100 osób. Nie oczekuję zespołu liczącego tysiąc ludzi, ale aby dobrze wykonywać pracę, potrzebujemy jeszcze przynajmniej 30 osób. NCN przejął od Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższe go ok. 10 tys. realizowanych obecnie projektów, które wymagają bieżącej obsługi. Trzeba wypłacać kolejne raty, wykonywać oceny bieżące, powoływać ekspertów do ocen końcowych. Pewnych rzeczy nie wolno nam robić tanio, bo się nie zrobi ich dobrze. Chodzi przecież o to, aby nie zmarnować pieniędzy publicznych, które idą na naukę.

- Dziękuję za rozmowę.

**Rozmawiał
Lesław Peters**

Fot. Jan Zych

Jubileusz prof. Zdzisława Żygulskiego juniora



Zawca historii, sztuki, w tym sztuk Bliskiego Wschodu, bronioznawca, autor ponad 30 publikacji książkowych i 200 artykułów z pięciu dyscyplin naukowych, a także przygotowujących z największą starannością wystaw cieszących się każdorazowo wielkim powodzeniem... **90. urodziny prof. Zdzisława Żygulskiego jr** obchodzono w sali Siemiradzkiego w Sukiennicach, przypominając zasługi Profesora i pełnione przez niego funkcje (był m.in. prezesem Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy, a w latach 1975-81 prezydentem Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Broni i Historii Wojskowości). Jubilatowi wręczono tom XIII *Studiów do dziejów dawnego uzbrojenia i ubioru wojskowego*, których był wieloletnim redaktorem naukowym. Podkreślono związek prof. Żygulskiego z Muzeum Narodowym i Muzeum Książąt Czartoryskich, który trwa już od blisko sześćdziesięciu lat.

Po zasłużonych laudacjach Jubilat uzupełnił swoją biografię o nieznaną obecnym szczegóły związane z dzieciństwem, rodzicami, lwowską cukiernią Ludwika Zalewskiego, lwowskim teatrem, gdzie mógł oglądać m.in. Solskiego i Wysocką. Mówił o swoim pierwszym spotkaniu z Krakowem w 1936 r. I wspominał, jakie wzruszenie towarzyszyło mu przy ponownym przyjeździe dziewięć lat później, kiedy zobaczył, że Wawel ocalał, że jest w Krakowie i może rozpocząć nowe życie. (ml)